OD REDAKCJI

SPRAWIEDLIWY Z UBOGIEGO ŻYJE

Czy można mówić o wydarzeniach przełomowych w dziejach namysłu człowieka nad sprawami, które go na co dzień obchodzą i dręczą? Czy są tu w ogóle możliwe niespodzianki? A jednak wydarzeniem w historii refleksji nad istotą państwa i prawa stała się rozprawa amerykańskiego uczonego z Cambridge (Massachusetts, USA) Johna Rawlsa, nosząca uderzająco prosty tytuł *A Theory of Justice* (*Teoria sprawiedliwości*). Rozprawa, wydana w roku 1971, zdobyła wnet światowy rozgłos, chociaż jej główna teza sprowadza się właściwie tylko do przypomnienia tak zwanej złotej reguły: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe!" (Tb 4, 15a).

Wbrew utrwalonemu w uznanych za wysoko cywilizowane społeczeństwa poglądowi, że życiem społeczno-politycznym ludzi kierować winna zasada: maximum pomyślności dla maksymalnej liczby ludzi – John Rawls wysuwa jako jedynie słuszną zasadę: maximum szans dla ludzi maksymalnie ich pozbawionych. Ta druga programowo wyklucza to, co – przynajmniej w tak zwanych kolizyjnych przypadkach – dopuszcza pierwsza: możliwość poświęcenia kogokolwiek z ludzi, jednostki czy grupy, dla dobra innych, „pro publico bono", dla większości czy nawet wszystkich pozostałych. Według Rawlsa różnica dzieląca obie te zasady ma charakter fundamentalny. Dotyczy bowiem dokładnie tego, czy ład mający określać stosunki wewnętrzne danego społeczeństwa, jak i ład mający określać relacje między państwami, opierać się ma na sprawiedliwości czy też na próbie zastąpienia jej kuszącą zasadą maksymalnej korzyści dla większości, nawet za cenę upośledzenia mniejszości, czyli po prostu kosztem czyjejś krzywdy.

Tak oto na drogach i bezdrożach poszukiwania klucza do rozwiązania palących problemów współczesnego świata, świata podzielonego jak nigdy przedtem na „światy", wyłania się na nowo, i to z samego wnętrza zasady sprawiedliwości – równie nieomijalny jak ona sama – Rawlsa „człowiek najbardziej upośledzony", człowiek zatem najbardziej pozbawiony szans życia i rozwoju, człowiek, którego – w imię sprawiedliwości – należy wła-

śnie dlatego wziąć w szczególny sposób pod uwagę, gdyż jego najłatwiej pod uwagę nie brać.

Kto jednak traci tu najwięcej i przede wszystkim? Czy rzeczywiście ten, kto jest krzywdzony? Czy nie bardziej – choć inaczej – ten, kto krzywdzi sądząc, że dzięki temu własny sukces: swój osobisty, czy swej grupy, swego narodu, państwa, zbuduje? Odpowiedź na to pytanie dała już starożytność ustami Sokratesa: „Szczęśliwsza jest ofiara krzywdy od swego krzywdziciela!" Szczęśliwsza, o ile będąc przedmiotem krzywdy sama jej nie zadaje. Szczęśliwsza, i o tyle bogatsza.

Oto także kontekst, w którym dopiero można podjąć próbę wskazania określeń słownych, dla wyrażenia z większą precyzją problemów, w obliczu których stajemy. Waga sprawy wymaga bowiem komunikatywnego języka, wymaga, „by odpowiednie dać rzeczy słowo". Któż bowiem z tych dwu jest „bardziej upośledzony" czy „bardziej biedny": krzywdzony czy krzywdziciel? Czy krzywdzony, który nie krzywdzi, nie góruje bogactwem swego człowieczeństwa nad krzywdzicielem? Czy nie staje się wręcz dla niego szansą: szansą przejrzenia, szansą nawrócenia i odzyskania przez to swego największego bogactwa: uśmierconego przez siebie człowieczeństwa? Czy nie jest tak, że bogaty z powodu zadawanej krzywdy staje się biednym, podczas gdy biedny, który znosi godnie swą krzywdę i walczy o jej usunięcie nie krzywdząc, staje się bogatym, a nawet ubogaca? Czy więc nie nazwać go wręcz bogatym lub co najwyżej ubogim, ale nie biednym, w przeciwstawieniu do krzywdziciela, który właśnie przez to, że krzywdzi, winien być nazwany bardzo biednym?

Sygnalizujemy tu tylko sprawy związane z komunikatywnością języka, nie chcielibyśmy jednak, by problemy nazewnictwa miały przesłonić to, czego odsłanianiu mają służyć. Dlatego też przypominając *Teorię sprawiedliwości* J. Rawlsa pragniemy przede wszystkim zwrócić uwagę na – wcale nieprzypadkową – paralelę pomiędzy wynikami badań amerykańskiego teoretyka państwa i prawa a kierunkiem analiz, które z troski o autentyczny rozwój każdego człowieka i społeczeństwa ludzkiego, zostały podjęte przez papieży: Pawła VI w jego encyklice *Populorum progressio* oraz Jana Pawła II w rozlicznych aktach jego nauczania społecznego, zwieńczonego encykliką *Sollicitudo rei socialis*, gdzie w imię sprawiedliwości właśnie została dobitnie wysunięta sprawa „preferencjalnej opcji na rzecz ubogich". Nie ma pokoju bez rozwoju, lecz rozwój jest dziełem sprawiedliwości, której nie ma bez solidarności z najuboższymi. Mocarstwowość musi ustąpić miejsca solidarności. Opus solidarietatis pax! To „znak czasu", w którym wypowiada się wołanie współczesnego świata. Solidarność z najuboższymi, a nawet postulat sui generis utożsamienia się „z najmniejszymi spośród maluczkich" w imię sprawiedliwości, jaką wieścił światu Chrystus, ma swe niejako świeckie – i to wcale żywe – pendant w tezie Rawlsa, iż ludzie stanowiący normy

prawne dla społeczeństwa muszą zacząć od składania solidarnościowych wizyt w rejonach dotkniętych największym upośledzeniem.

Czy Polska roku 1989 nie wymaga takich wizyt? Czy kraj, z którego obszaru w ciągu kilku zaledwie lat zbiegło około 750 tysięcy młodych obywateli, nie podpada jakoś pod kategorię „rejonu upośledzenia" (J. Rawls) czy „obszaru ubóstwa" (Jan Paweł II)? Wszak na pytanie: Dlaczego uciekasz? – słyszymy najczęściej odpowiedź: Nie widzę tu żadnych szans dla siebie.

Istotnie. Nikt nie opuszcza domu, w którym mu jest dobrze. Nazbyt prosta byłaby zatem krytyczna na to odpowiedź w formie wyrzutu: Czy tam, dokąd się udajesz, spodziewasz się mieć rzeczywiście więcej szans dla siebie, by bardziej być? Czy nie myślisz tylko o tym, by więcej mieć? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że można więcej mieć i wcale nie bardziej być, a nawet zagubić siebie pośród rzeczy? A poza tym, czy nie należy – w tej sytuacji – tym bardziej zatroszczyć się o „swój dom", o jego naprawę? Czy dom nie potrzebuje ciebie?

Wydaje się, że jednak wolno, a nawet należy, ale najpierw trzeba niejako uzyskać odpowiedni do tego mandat: uzyskuje go ten, kto przedtem sam dobrowolnie wybrał „niewiele mieć" w imię „być".

Może właśnie dlatego tak ważne jest dziś dla świata – także dla polskiego świata – świadectwo tych, którzy ubóstwo wybrali jako swe szczególne bogactwo. Idąc śladami Chrystusa, który „będąc bogatym dla nas stał się ubogim, aby nas ubóstwem swoim ubogacić" (por. 2 Kor 8, 9), Kościół od wieków po dziś dzień ceni ten niezwykły i wyzwalający zarazem dla świata i dla jego mentalności dar, dar ubóstwa, ubóstwa z wyboru.

Ale czy ubóstwo ślubowane przez osoby zakonne jest dziś takim prowokującym świadectwem dla świata? Czy jest nim ubóstwo polskich zakonnic i zakonników wobec Polaków, którym w Polsce źle, bo biednie? Czy człowiek ubogi, dziś w Polsce żyjący, jest drogą polskiego Kościoła? Czy ubogi czuje, że jego Kościół jest Kościołem ubogich?

Więcej tu pytań niż odpowiedzi. Ale też „Ethos" nie chce spieszyć się z odpowiedziami. Wolimy raczej dotknąć problemu. Trzeba go będzie podjąć kiedyś frontalnie. Zanim to jednak uczynimy, warto dokonać wpisu tego problemu na listę spraw istotnie ważnych. Problemu ubóstwa i biedy, a raczej przeróżnych bied ludzkich. Albowiem jedną z ich odmian tylko – czy najważniejszą? – jest niedostatek dóbr materialnych. Wszak mówiąc o „upośledzonych", jakże tu nie wspomnieć także o cierpiących, o niesprawnych, o dyskryminowanych z racji swych przekonań, o nie narodzonych, a już skazanych na bezkarne zabicie? Chcemy zatrzymać się przy nich wszystkich próbując spojrzeć na świat ich niejako oczyma. Chcemy zaprosić się wspólnie z Czytelnikiem do uczestnictwa w trosce i niepokoju o nich

wszystkich. Jedynie bowiem z udziału w tym niepokoju i trosce wyrastać mogą dojrzałe odpowiedzi na trudne pytania. I decyzje na miarę tych odpowiedzi, decyzje świadczące o ludzkiej dojrzałości. Człowiek dojrzewa bowiem jako człowiek, gdy dojrzy ubogiego. I otoczy go swą troskliwą opieką. Sprawiedliwy z ubogiego żyje. Oto co mówi również dzisiaj – nam i światu – brat Albert.

T. S.